Nr. 3. Sobota, dnia 15-go stycznia 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na drugą niedzielę po Trzech Królach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Rzymian, rozdział XII, wiersz 6—16.

Bracia! Mając dary wedle łaski, która nam jest dana, różne, bądź proroctwo wedle przystosowania wiary, bądź posługowanie w usługowaniu, bądź kto uczy w nauce, kto napomina w napominaniu, kto użycza w prostości, kto przełożony jest w pieczołowaniu, kto czyni miłosierdzie z wesołością, miłość bez obłudności. Brzydząc się, przystawając ku dobremu, miłością braterstwa jedni drugich miłując, uczciwością jeden drugiego uprzedzając, w pilności nie leniwi, Duchem pałający, Panu służący, nadzieją się weselący, w utrapieniu cierpliwi, w modlitwie ustawiczni, potrzebom Świętych udzielający, w gościnności się kochający, błogosławcie prześladującym was, błogosławcie, a nie przeklinajcie. Weselcie się z weselącymi, płaczcie z płaczącymi, toż jeden o drugim rozumiejąc, wysoko nie rozumiejąc, ale się z pokornymi zgadzając.

EWANGELIA

u św. Jana, rozdział II, wiersz 1—11.

Były gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej, a była tam matka Jezusowa. Wezwan też był i Jezus i uczniowie na gody. A gdy nie stawało wina, rzekła matka Jezusowa do Niego: Wina nie mają. I rzekł Jej Jezus: Co Mnie i Tobie niewiasto? Jeszcze nie przyszła godzina Moja. Rzekła matka Jego sługom: Cokolwiek wam rzecze, czyńcie. I było tam sześć stągiew kamiennych wedle oczyszczenia żydowskiego postanowionych, biorących w się każda dwie albo trzy wiadra. Rzekł im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż do wierzchu wodą. I rzekł im Jezus: Czerpajcież teraz, a donieście przełożonemu wesela. I donieśli. A gdy skosztował przełożony wesela wody, która stała się winem, a nie wiedział, skądby było, lecz słudzy wiedzieli, którzy wodę czerpali, wezwał oblubieńca przełożony wesela i rzekł mu: Wszelki człowiek pierwej kładzie wino dobre, a gdy się napiją, tedy podlejsze, a tyś dobre wino zachował aż do tego czasu. Ten początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i okazał chwałę Swą i uwierzyli Weń uczniowie Jego.

NAUKA.

Trzydzieści lat upływało od chwili, w której aniołowie hymn chwalebny przy żłóbku Betleemskim na cześć Boskiego Dzieciątka śpiewali. Już rozbrzmiewał na puszczy głos Jana Chrzciciela, nawołującego ludzi do pokuty, i zewsząd tłumy do niego śpieszyły, by jego słowa usłyszeć i w wodach Jordanu z rąk jego chrzest przyjąć, gdy Zbawiciel, opuściwszy w Nazaret zaciszne ustronie, rozpoczął swoje apostolstwo.

W tym to właśnie czasie, mówi Ewangelia dzisiejsza, „były gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej: a była tam Matka Jezusowa" (Jan II, 1). Marya zapewne była tam zaproszona, jako krewna, lub dobra znajoma, o ile można wnosić z wielkiej życzliwości, okazywanej przez Nią nowożeńcom.

„Wezwam też był i Jezus, i uczniowie Jego" (Jan II, 2). Odkupiciel zaszczycił tę uroczystość swoją obecnością, ażeby udzielić młodej parze swego błogosławieństwa, ażeby zebranym gościom dać dobry przykład swojem zachowaniem i wreszcie — aby okazać, kim On jest w istocie.

Gdy uczta weselna zbliżała się ku końcowi, spostrzeżono nagle, że wina zabrakło. Z tego powodu powstał wielki popłoch.

Wtedy Marya, zawsze czuła na cudzą niedolę, chcąc domownikom zaoszczędzić wstydu, zbliża się do swojego Syna i szepcze błagalnie do Niego: „Wina nie mają" (Jan II, 4). Powiedziała tych parę słów tylko, ale one malują wszystkie Jej uczucia, albowiem mówią wyraźnie: Synu, zaopatrz ich w wino; jeżeli zechcesz — jest to w Twojej mocy; dopomóż tym biednym ludziom i wybaw ich z wielkiego kłopotu.

Ta uwaga i to wstawiennictwo były dla Chrystusa zupełnie zbyteczne, gdyż lepiej, niż ktokolwiek wiedział, co się w domu działo. Miał zamiar cud uczynić; chciał wszakże, ażeby wszyscy obecni, odczuwszy i stwierdziwszy poprzednio brak wina, uwierzyli następnie w Jego wszechpotęgę. Wiedział również, co się rozgrywało w sercu Jego Matki; widział Jej smutek i troskę, i dlatego wyrzekł: „Co mnie i tobie niewiasto? Jeszcze nie przyszła godzina moja" (Jan II, 4). Dlaczego się niepokoisz? Zostaw to mojej pieczy. Gdy uznam za stosowne, spełnię, o co tak gorąco prosisz. Marya zrozumiała, a ufność Jej w przyrzeczenie Syna była taka wielka, że zwróciła się natychmiast do sług ze słowami: „Cokolwiek wam rzecze, czyńcie" (Jan II, 5).

I nie omyliła się w swych przewidywaniach.

W sieniach domu, w którym się odbywało wesele, stało sześć wielkich stągwi kamiennych. Jezus rozkazał aż po brzegi wodą takowe napełnić, a gdy to polecenie zostało spełnione, powiedział: „Czerpajcież teraz, a donieście przełożonemu wesela. I donieśli" (Jan II, 8). Woda została w wino zamieniona. „Ten początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej: i okazał chwałę swą, i uwierzyli weń uczniowie Jego" (Jan II, 11).

Tak będzie On czynił począwszy od godów w Kanie Galilejskiej aż do swojej męki na górze Kalwaryi. Raz będzie darzył swoją nauką zewsząd do Niego garnące się tłumy, to znów — będzie uśmierzał burze, uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych... Zapytany, kim jest, przez uczniów Jana Chrzciciela, czy ich zapewnia, że jest prawdziwym Bogiem? Czy do nich mówi, jaki Mu wtedy, gdy był w kolebce, Niebo hołd oddało? Czy powołuje się na proroków,

którzy przepowiedzieli Jego przyjście na świat?... Nie, On tylko powiada: „Odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają..." (Mat. XI, 4, 5). Przez cuda zatem Chrystus dowiódł, że jest Synem Boga, a woda w wino przemieniona — była tego najpierwszem świadectwem.

Na czyjąż wszakże prośbę stał się cud ten w Kanie? Czyż Jezus nie przewidział, że zabraknie wina? Dlaczegóż trzeba było, aby Go Matka Jego o tem uprzedziła? Dlatego, że chciał, ażeby wszystkie dobrodziejstwa spływały na nas z Nieba za pośrednictwem Maryi.

Z tym zamiarem i w tym celu powierzył Jej solennie i publicznie natenczas tę misyę.

Istotnie, gody małżeńskie, o których wspomina dzisiejsza Ewangelia, wyobrażają Kościół. „Podobne się stało królestwo niebieskie człowiekowi - królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swemu" (Mat. XXII, 2). Goście weselni, przez brak wina nagle zaskoczeni, przedstawiają nas wszystkich z naszymi obowiązkami, walkami i — najczęściej, niestety, z naszemi wadami.

Bóg, który najdrobniejsze ziarno piasku dostrzega na dnie oceanu, zna wszystkich nas bez wyjątku i śledzi za nami. Wie On, gdzie i kiedy spotkał nas jaki zawód; przez jaką pokusę byliśmy nawiedzeni; jakie odczuwamy potrzeby... Tak, wie On to wszystko i zawsze jest gotów okazać nam pomoc i łaską nas obdarzyć; ale tak samo w niebie, jak na godach w Kanie, pragnie, ażeby pośredniczką między Nim i nami była Marya.

Marya zatem z wyżyn swego tronu patrzy na nasze ułomności, niedostatki i rozliczne troski: Jej serce macierzyńskie tknięte jest litością i w swem bezgranicznem miłosierdziu bezustannie powtarza te słowa błagalne: Panie, oni nie mają wiary, nadziei, miłości, poddania, cierpliwości, energii... Takie jest w Niebie Maryi zadanie, a Jej wstawiennictwo nigdy nie bywa daremnem. O tem świadczą wszystkie te cuda, o których od wieków słyczymy.

Ale, czyż nie jest zbytecznem powoływać się na świadectwo, aż wieków ubiegłych? Czyż nie widzimy, jak codziennie jeszcze tłumy pielgrzymów śpieszą na Jasną Górę, lub do Ostrej Bramy? Po cóż oni tam dążą z ufnością w sercu i pieśnią na ustach? Idą prosić Maryi o cuda a niezliczone „vota", zawieszone na Jej ołtarzach, wyraźnie nam mówią, że potęga Bogarodzicy jest zawsze ta sama.

I w rzeczy samej, dlaczegóżby teraz miało być inaczej? Bo przecież na godach w Kanie Galilejskiej cóż tryumf odniosło? — Modlitwa.

Ta modlitwa ze słów paru tylko się składała: „Wina nie mają" (Jan II, 3), lecz w tych paru wyrazach widnieje cała dusza Najświętszej Panienki, a że ta dusza jest cnót uosobieniem, dlatego też i Jej prośba była wysłuchana.

O, bo modlitwa jest wszechpotężna i gdyby niebiańskie podwoje przed Nią się nie rozwierały, nie byłyby prawdziwe te słowa Ewangelii: „Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono" (Mat. VII, 7).

Skądżeż więc pochodzi, że nasze modlitwy Pan Bóg tak często odrzuca?

Marya była ozdobiona cnotami: wiary, miłości, czystości. Otóż, czyż możemy o sobie to samo powiedzieć?

Modlimy się najczęściej bez tego głębokiego przeświadczenia, że nasza prośba łaskawie będzie przyjęta, i jeżeli nie zaraz do takowej Pan Bóg się przychyla, tracimy ufność i ustajemy w naszej gorliwości. Modlimy się jedynie ustami, być może, jakim wielkim obciążeni grzechem... Nic więc dziwnego, że na nasze wołanie nie otrzymujemy żadnej odpowiedzi.

Chcecie sobie na miłosierdzie i łaskę zasłużyć? Wierzcie... Kochajcie... Bądźcie niewinni i czyści... I udawajcie się do Jezusa zawsze za pośrednictwem Maryi!

Ks. Roman Lasocki.

Gdy nadejdzie godów czas...

Mała chatka góralska, zasypana śniegiem po pod strzechę, wyglądała jakby jaka zgarbiona wiekiem staruszka, okryta białą płachciną, która nie mogąc przebrnąć oceanów śnieżnych, przykucnęła przy drodze, i oparłszy się o stromą górę, czekała chwili sposobnej aż roztopy wiosenne pochłoną te zaspy i wały śnieżne i pozwolą jej postąpić dalej.

Wysokie chojaki z drugiej strony osłaniały ją od wichrów zachodu. Gałęzie u nich zwisały na dół pod ciężarem śniegu. Księżyc majestatycznie roztaczał swe blaski na okolice, zamieniał świat, tonący w białym puchu, w morze skrzących się dyamentowych iskier i uparcie, coraz więcej, zaglądał po pod strzechę chatki, w której dwa małe okienka, od światła znajdującego się wewnątrz, lśniły jak dwa ślepia czającego się gdzieś, wśród lasów, wilka.

Mało co udeptana ścieżka, jaka koło chaty prowadziła, znamionowała, że wobec tej utrudnionej komunikacyi, nikomu nie chciało się brodzić wśród zwałów śniegowych, i zdawało się, jakby świat cały zamarł w uścisku zimy, która na dobre rozgospodarowała się wśród okolic Beskidu.

A mimo wszystko, w chatce onej wrzało życie w przyśpieszonem tempie. I nic dziwnego, boć to dzisiaj wigilia Bożego Narodzenia.

U Jagi Bernasiówny, mimo zasp i nader uciążliwej drogi, zgromadziła się garstka rówieśnic, aby przy cieplem ognisku posiedzieć, pogwarzyć, a gdy dzwon na wieży kościelnej o północy się odezwie, podążyć do Świątyni Pańskiej na pasterkę.

Gazda Bernaś, ojciec Jagi, zapełniwszy sobie wnętrze obiadem wigilijnym, złożonym z polewki grzybowej, grochu z kapustą i klusek okraszonych miodem i makiem, usiadł na skrzyni, zapalił fajeczkę, oparł głowę o ścianę, nogi wysunął przed siebie i trawił. Żona jego ułożyła się na łóżku i drzymała, a dziewczęta przy kominie mówiły o kawalerach. Po wilii wybiegały na strych po okopcone dymem polana drzewne, a przyniósłszy je do izby, rachowały, bo która wzięła do pary, miało to znaczyć, że ta pójdzie za mąż w tym nowym — od godnich świąt rozpoczynającym się roku. I kołki w płocie porachowały i psa wyścigały na pole, uważając w którą stronę zapędzi się i szczeknie, bo z tej strony upragniony nadejść ma. A wróżby wypadały różnie; jednej tak, drugiej owak; jedna tylko Jagusia była najnieszczęśliwsza. Żadna wróżba jej nic dobrego nie rokowała.

A wiedziały wszystkie, że kochała Franka Opydzioka, »że strach boski«, a i on podobno miał się ku niej. Zaś wzajemnemu pobraniu się ich — jak jedni mówili — przeszkadzało tylko jakieś małe nieporozumienie pomiędzy rodzicami, niby dla tej przy-

czyny, że ojciec Franka miał chałupę, gruntu z pięć morgów i trzy krowy, a ociec Jagi oprócz chaty, miał gruntu tylko tyle, że chował na nim zaledwie jedną krowę i cielę. Wskutek tej różnicy majątkowej, stary Opydo miał patrzyć niechętnem okiem na amory syna z Bernasionką, bo w razie zamążpójścia, conajwyżej owe cielę mogła ona wnieść do domu, jako wiano, a resztę dopiero ta kiedyś po śmierci rodziców. Inni zaś powiadali, że Franek tak jakoś dziwnie się zachowywał wobec Bernasionki, że nie można było wywnioskować, czy ją kocha, czy nienawidzi. Bolało to Jagę wielce. Nikt się po jej rękę nie zgłaszał, wskutek czego przepowiadali we wsi, że zostanie starą panną.

Tymczasem przy kominie toczyła się żywa rozmowa.

— Jo ci godom Jaga, nie frasuj się nic, bo na wszystko je sposób. Bedziesz druchną na weselu Mirochnionki, to se welun panny młodej nasuniesz na nogi przy ontorzu, i bedzie ci grało.

— A jak nie pomoze!?

— Bojki! nie pomoze!! jo pamintom jak Kunda od Scyrbuły tak zrobiła kiej sie Maryśka Hujdusionka zeniła, to jesce na tem samem weselu na dobre zaręcyła się z Klimosiokiem.

— Psiobest! nie znowiałabyś!

— Sumiennie wom godom; zebym sie haw z tego miejsca nie rusyła!

— A jo ci zaś powiem tak: mozes se z welunem zrobić praktyke, abo nie, ale to co jo ci poradze, to jest tako prowda jak nie wim co: Mnie to pedziała tako osoba, co jak co powie, to choć drukować złotemi literami.

Zbite w kupę dziewczęta całe w słuch się zamieniły.

— Bedzie teroz chodzić ksiądz po kolędzie, otóz trza tak deliberować, zeby na stołku jakim u wos siedzioł se i siedzioł, a jak... — tu zerkła okiem w stronę Bernasia, a widząc że tenże słucha co gadają, nachyliła się ku słuchającym jeszcze więcej i głos zniżyła do szeptu.

Czy Bernaś dosłyszał co powiedziała,a czy się domyślił zakończenia, dość ze wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że żonę przebudził, a wszystkie dziewczęta ogromnie skonfudowane i zawstydzone, z zakłopotaniem poczęły poglądać na siebie, nie wiedząc co począć.

— Oj, głupie cielęta, głupie! Kiedy tez przyjdzie wom na jaki rozum!

Śmiejąc się serdecznie, począł wytrzepywać popiół z fajki i na nowo do niej tytoń nakładać.

— Je, ociec sie ta niek w nase jenteresa nie wrozo! — odpowiedziała na to Jaga nie bez złości.

Przebudzona Bernasiowa podeszła ku mężowi i poczęła go wypytywać o powód tej wesołości, poczem razem z sobą zaczęli szeptać i śmiać się. Za chwilę zbliżyła się ku młodym.

— Zaśpiwojciez dziwcęta kolędę jakom, zebym znowuś drzymała, a wasych konsachtów zostawcie se końduś, na jutro.

Dziewczęta były kontentne, że przez takie zagadnięcie wybrnęły z niemiłej sytuacyi i aż się rozlegało po wzgórzach gdy zaczęły śpiewać:

Dzisiaj w Betleem, dzisiaj w Betleem
wesoła nowina,
Że Panna czysta, że Panna czysta
porodziła Syna...

No Nowym Roku zwyczajem praktykowanym ksiądz wikary z kościelnym i z organistą obchodzili chatki góralskie »po kolędzie«. Gości tych oczekiwano z upragnieniem i wedle sił i możności ich po domach przyjmowano.

To też i od Bernasiów od dłuższego już czasu ciągle ktoś wychodził przed dom i rozglądał się po okolicy, czy oczekiwani nie przychodzą. Widzieli ich jak sztyrmając się po brzegu, odwiedzili dom Wątora, stamtąd udali się do chaty ‛wójta, która gdzieś w głębokim jarze stała po nad potokiem. Opuściwszy ten dom, znowu o jakąś chatkę, położoną niżej od nich, zawadzili, tak, że już miało się dobrze ku wieczorowi, kiedy w progach ich domostwa ukazał się dopiero ksiądz wikary ubrany w komżę, z narzuconym na nią futrem, a dalej kościelny z kropidłem w ręku i organista.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — ozwał się kapłan, na co mu domownicy społem odpowiedzieli i podczas gdy na powitanie zbliżyli się do ucałowania jego ręki, w izbie zabrzmiała chórem kolęda:

Przybieżeli do Betleem pasterze,
Grając skoczno Dzieciątkowi na lirze.
Chwała na Wysokości
Chwała na Wysokości,
A pokój na ziemi.

Ksiądz rozpoczął modlitwę, a organista tymczasem rzucił śledczym wzrokiem po izbie...

Kiedy pokropiono święconą wodą wszystkie ściany izby, oraz jej mieszkańców i odmówiono przepisane modlitwy, Bernasiowie z córką zaczęli gorąco zapraszać jegomościa i jego towarzyszy, by zasiedli przy stole i pozwolili się ugościć, czem chata bogata.

Ksiądz wikary zaczął się żywo wymawiać, że jest syty, że już w tylu domach go nakarmiono i napojono, że nie jest w stanie ani pić, ani jeść więcej.

— Och! tego nam tez jegomościcek nie zrobi, coby nas dom przez nicego opuścił, — odzywa się Jaga, i całuje wikarego po rękach, a Bernasiowa zaczęła tak nabożnie składać dłonie, jak do modlitwy. Bernaś także nisko do stóp księdza się skłonił.

— Nie wypada odmówić, nie wypada! — powiada organista miodowym głosem.

— Moi ludkowie, pocóż sobie robicie wydatki; my tu przecie do was nie po jadło i na picie przyśli.

— Ale tez piknie pytom jegomościcka nie robić nom tej wzgardy, boć przecie stać nos na tyle, coby takik gości choć roz w rok u siebie pzyjąć i nie puścimy go potela, pokiela u nos bodej cego końduś nie pokostuje.

Tak »sklamrze« Bernasiowa i schyla się do kolan księdza.

— Nie wypada, nie wypada — pomrukuje organista.

— No dobrze już, dobrze, — odpowiada wikary, siadając przy stole. — Tylko też kobietko nie długo nas przytrzymujcie, bo to już wieczór późny.

— Be... be... bedzie wszystko na czas, proszę księdza jegomościa, bedzie — prawi kościelny, a kobiety z pośpiechem przynoszą z komory na stół w brytwannie pieczonego »króla« obsypanego bułeczką, którego zapach już dawno wyczuł kościelny swym doskonałym organem powonienia. Zarazem podają talerze, noże, chleb i zapraszają gorąco do jadła.

Wikary, aby ich woli zadość uczynić, zjadł nieco pieczystego, zachwalając danie i począł rozpytywać się o stosunki domowe, obdarzył domowników obrazkami, przedstawiającymi wizerunki

Świętych, ale organista z kościelnym nic się nie odzywali, bo ich usta były wciąż pełne, a zęby ciągle w ruchu.

— Pieczonki pyszności! pyszności! — ozwał się wreszcie organista.

Przyniesiono herbatę, a Jagusia już ciągle stała obok księdza i usługiwała mu wytrwale.

— No i kiedyż jakie weselisko? — rzuca pytanie jegomość, popijając łyżeczką herbatę.

Dziewczyna zarumieniła się jak burak.

— Nie nie ma jeszcze pewnego. — Mimo woli westchnęła tak ciężko, że wszyscy się roześmiali, a ona pokraśniała jeszcze więcej.

— Nie wierzę, nie wierzę — powiada jegomość.

— Ale nie chcę dociekać, bo widzę, że to tajemnica.

Jagusia sama nie wiedząc dlaczego, ucałowała księdzu rękę.

— Zrobi się wszystko w porządku, zrobi — powiada na to protekcyonalnie organista.

— Mi... mi... mi... się widzi, tu do wesela nie daleko, bo pa... pa... paanna cała w kolorach, a gorąc z niej idzie jak z pieca, wtrącił kościelny.

— No, no, Franciszku, nie zapominajcie się — strofuje ksiądz.

— Proszę jegomościa, sprawiedliwie powiedziane. Każda zresztą kobieta powinna się żenić, boć na to się rodzi.

— No, no, nie plećcie trzy po trzy, tylko dopijcie co macie i chodźmy.

Ksiądz powstał z siedzenia i zabierał się do odejścia mimo zaprosin gospodarzy, by jeszcze »kóńduś« pozostał. Organista z kościelnym radzi nie radzi — powstali także.

Jagusia jak zahytnotyzowana uczepiła się stołka na którym ksiądz siedział, widocznie z zamiarem korzystania z okazyi i zastosowania się do rad swej przyjaciółki, jaką w wigilię Bożego Narodzenia z ust jej słyszała. Zauważył to ojciec i tłumił śmiech w sobie.

Ruszyła się w końcu o tyle, aby ucałować rękę księdza opuszczającego już chatę, za nim poszedł i kościelny wyprowadzony przez Bernasiową, a Bernaś wtykał tymczasem organiście do ręki jakąś »szóstkę« za kolędę.

W ten sposób zostali w izbie we troje.

— Siadajcież no jeszcze panie organisto, — odzywa się gospodarz i chce dławidudę gwałtem posadzić na swym uprzywiliowanym stołku, a gdy to Jaga zoczyła, prędko usunęła krzesło i siadła na nim całym ciężarem swego ciała.

Organista stracił w ten sposób równowagę i przysiadł na ziemi. Zakłopotany był i zgorszony tym postępkiem. Bernaś udzielił mu pomocy, aby powstał, i zwrócił się z wymówką do córki.

— A ty co wydziwios półgłówki?! widzis, coś zrobiła?

Rozbawiony starał się śmiech ukryć.

— Wyboccie panie organisto, nie chciałam wom zrobić nic złego, ale się tak jakoś ułożyło.

Że stołka się jednak nie ruszyła.

Organista, że to nie w ciemię był bity, ino gdzie indziej, wpatrzył się w nią bystro, wreszcie końcami palców lewej ręki palnął się w czoło.

— Aha! takie buty z cholewkami! No! niechże ci Bóg błogosławi chrześcijańska niewiasto! Ja rozumiem ten kawałek i teraz mi się dopiero w głowie rozjaśniło. Wiem dlaczego usiadła tak pilnie na owym stołku, niby kokosz na gnieździe z jajami. Niechże to poświęcane miejsce odniesie skutek pożądany! Laudater Jezus Chrystus! —

Zrobił znak krzyża świętego w powietrzu jak biskup kiedy gdzieś odbywa wjazd tryumfalny i błogosławi zebranych, poczem pokiwał jeszcze głową znacząco i podążył za tamtymi, bo kościelny przybył już po niego z upomnieniem, że się jegomość niecierpliwi.

Wyszedł za nim z domu i Bernaś.

Jaga wciąż siedziała.

Za dobrą chwilę powrócili ojciec z matką do izby, i zastali jeszcze córkę siedzącą jak poprzednio.

— No! czegóż sie nie ruszys! cóześ sie tak rozcapiła na tym stołku? Trze przecie posprzątać!

— Cekajcież moja matusiu jesce kóńduś. Niekze se odpocne.

A powiedziała to tak płaczliwie i błagalnie, że trzebaby nie mieć serca, aby ją ruszyć z tego miejsca, na którem siedziała.

Popatrzyła matka na męża, obydwoje uśmiechnęli się porozumiewająco i zaczęli sprzątać po izbie, a Jaga wciąż siedziała. Starzy ułożyli się na spoczynek, a ona siedziała.

W jaki tydzień później, przyszli w dom Bernasiów kolędnicy z szopką. Franek Opydziosek był między nimi jako Cedzimlek. Naschodziło się dziewuch z całej wsi, dzieci, wszyscy sąsiedzi przyśli patrzeć na to widowisko, no i wśród odgrywania pastorałek, kiedy parobcy udając pasterzy, pokładli się na podłodze niby do snu, Franek, co robił Cedzimleka tak jakoś manewrował, że znalazł się tuż przy Jagusi i roznamiętniony jej widokiem, a zachwycony jej krasą, zaczął być coś bardzo niespokojny i coraz więcej wychodził ze swej roli. Wreszcie kiedy Maścibrzuch krzyknął:

— Cy ty to ćpiewos Furgoł? czy mi się tak zdaje? on szeptem począł wyśpiewywać ukochanej dziewusze swoją miłość gorącą, swoje pragnienia, tęsknotę za jej oczętami, przysięgać się, że już dłużej żyć bez niej nie potrafi, i groził, by nie patrzała ani w stronę Furgoła, ani Sufli, ani Maścibrzucha, tylko na niego, bo on jest o nią ogromnie zazdrosny, i aż go »fybra trzęsie«, jak widzi, że do innych chłopaków się uśmiecha i rada z nimi gada.

Furgoł deklamować począł:

»Chybaby na choinie słowiki śpiewały,
Alboli ten na dębie gruchoł gołąb biały...«

Jagusia zaś wtedy odpowiedziała swemu Cedzimiechowi, że tak samo Franek jest dla niej wszystkiem i po za nim nikogo nie widzi. A choć ta na kogo spojrzy i zagada, to nie ma w tem nic, prócz zwykłej grzeczności.

Pod wpływem tych słów i pod promieniem jej oczu, Cedzimlek zapomniał się i rozgorzał do tego stopnia, że po słowach Furgoła:

»Hej ozwijno się ozwij! powindz co potrzeba...« to co miał »anioł« powiedzieć, on krzyknął »no! nieba!! i jak dopadł do ust Jagusiowych, całować je począł zapamiętale, iż współgrający pięściami dopiero musieli go trzeźwić i przypominać, że skoro się zobowiązał grać rolę Cedzimleka, to ma wytrwać przy niej do końca.

Podczas przedstawienia lalek w szopce obok żłóbka i Świętej Rodziny, już Franek siedział razem z Jagusią złączeni razem jako narzeczeni, i jeszcze w tym kwartale Bernasionka została panią Opydziną.

Taki ci jest niezawodny środek przeciwko staropanieństwu.